

SZKLANA MELPOMENA

WSZYSCY, z kim rozmawiałem na temat ostatniego przedstawienia Teatru Telewizji są jednomyślnie zdania, iż spektakl nie bardzo się udał. Jedni krytykują samą sztukę inni reżyserię, jeszcze inni grę większości aktorów, w tym aktorów tytułowych. No cóż, wprawdzie zawsze byłam zdania, że racja jest po stronie większości argumentów, a nie większości głosów, tym jednak razem skłonny jestem pnieć, że większość argumentów pokrywa się z większością głosów.

Jednakże jest w tym przedstawieniu pewien watek, świadomie, tak mi się zdaje, wyeksploatowany przez reżyserkę (Marię Wiercińską), który wart jest podkreślenia i szkoda by była, aby miał utonąć w powodzi ogólnego niezadowolenia.

ŻYCIE RAZ JESZCZE

Oto w jakiejś podrzędnej knajpce spotyka się dwoje młodych ludzi. Ona, Eurydyka (H. Stankówna) oraz on, Orfeusz (W. Kowalski). Patrzą na siebie, miłość od pierwszego wejrzenia, i oto zapada postanowienie. Zerwać z tym błotkiem, w którym grzęzło się dotąd, zacząć nowe życie w pięknie, godności i prawdzie.

Mój Boże, czy istnieje na świecie człowiek, który przynajmniej raz w życiu nie chciał — mówiąc językiem Ewangelii — „przyoblec się w nowego człowieka”, stać się kimś innym, niż dotąd, zacząć jeszcze raz, ale lepiej, szlachetniej, sensowniej.

I cóż się dzieje? Krótko trwają zdzenia. Przeszłość wdziera się w teraźniejszość. Dawne powiązania, dawne przyzwyczajenia, wszystko to chwyta — zwłaszcza Eurydykę — przekreśla jej marzenia, cofa z powrotem do punktu wyjściowego, a nawet gorzej, bo — wobec niemożności „życia raz jeszcze” — skazuje na śmierć.

SKĄD TA NIEMOŻNOŚĆ?

Wiele rzeczy na ten temat można by powiedzieć. Zatrzymajmy się na jednym punkcie, znakomicie uwydatnionym przez przedstawienie. Jest to chyba jego najmocniejsza strona. Ludzie, którzy pragną żyć lepiej niż dotąd — muszą spełnić jeden zasadniczy warunek.

Samy sobie i jedno drugiemu musimy powiedzieć prawdę. Całą prawdę. Im gorsza, im mroczniejsza jest ta prawda, tym bardziej kategoryczny jest imperatyw jej mówienia. Eurydyka się zawahała. Powiedziała Orfeuszowi ćwierć prawdy, no — może połowę. A ćwierćprawda czy półprawda jest — może to trochę cyniczne, co pisze — gorsza od całego kłamstwa, które przynajmniej jest kon-

sekwentne, logiczne i dzięki temu w jakiejś mierze sugestywne.

Ilekoć przechodzę przez Plac Zbawiciela w Warszawie, odczytuje cytaty z Ewangelii św. Jana umieszczony na ścianie Domu Metodystów: „I poznaście prawdę, a prawda was wyzwolodzi — Jan 8, 32”. Otóż to. Człowiek, który sam sobie i innym, którzy są z nim związani mówi prawdę, całą prawdę bez retuszu, w tym samym momencie, właśnie dzięki temu, wyzwała; z siebie ogromną pokładę energii psychicznej, nieodzownej, gdy idzie o urzeczywistnienie wielkich zamierzeń.

W tym przypadku Orfeusz i Eurydyka nie powiedzieli sobie tej prawdy, którą powinni byli powiedzieć. I stało się, że ona jednak wsiadła do tego fatalnego autobusu, jadącego w stronę Tulonu, a on — w decydują-

współczesnego świata, będącego dialektyczną konfrontacją imperializmu i socjalizmu (mówmy wreszcie po imieniu...).

DYWERSJA PRZESZŁOŚCI

I oto próbują powołać do życia wszystkie złe moce naszej przeszłości. Te moce, które kiedyś sprawiały, jak kapitalnie pisał kiedyś o tym Roman Dmowski, że nieraz zdarzało się realizowanie zamierzeń wrogich Polsce rekami samych Polaków i to, co może najpotworniejsze i najbardziej zawstydzające, rękami Polaków subiektywnie przekonanych o swoim patriotyzmie.

Znów mamy nazywać rzeczy po imieniu? Niech będzie... A więc ta żądza życia ponad stan, tak często w historii dewastująca nam organizm

DYWERSJA PRZESZŁOŚCI

cym momencie — nie był w stanie wykonać warunku przywrócenia ukochanej do życia: odwrócił się, spojrział w jej twarz i stało się nieszczęście.

METAFORA?

Jako człowiek polityczny (Muzo polityki, jeśli takowa istnieje, daruj zachwałości) — znajduję w tym przedstawieniu coś z metafory. Między poszczególnym człowiekiem a społeczeństwem, narodem — jest milion odrębności, na które słusznie zwracają uwagę socjologowie. Jeżeli jednak dość często zdarza się porównywać życie pojedynczego człowieka, lewo aspirację, jego działalność — z życiem wielkich zbiorowości ludzkich i nie zawsze jest to wulgaryzacja i nonsens, to dzieje się tak dlatego, że obok miliona odrębności istnieje także trochę mocnych analogii.

Otóż to. Z pewnego punktu widzenia (podkreślam: pewnego stwierdzając tym samym, że nie jest to punkt widzenia jedyny ani też ostateczny) — sens najnowszej historii naszego narodu jest w ogromnym uproszczeniu taki: po kilkaset latach historycznej depresji, w czasie których byliśmy wciąż i wciąż spychani coraz niżej w międzynarodowej hierarchii społeczeństw, Polska Ludowa zaczęła „życie raz jeszcze”, na nowo podjęty został wysiłek, aby znaleźć się w czołówce ludzkiej cywilizacji. I milion rzeczy, na które słusznie narzekamy, nie jest w stanie przekreślić podstawowego faktu, że z trudem niemalym tam się znów znaleźliśmy.

Nasz wysiłek nie jest skierowany przeciw komukolwiek; rolę w świecie, znaczenie w świecie, chcemy oprzeć na służbie dla całej ludzkości, w żadnym zaś wypadku na ułarmianiu, wyzyskiwaniu czy pogardzaniu komukolwiek i kimkolwiek.

Życie jednak nie jest takie proste i piękne, jak piosenka. Są w świecie siły, które by chciały zepchnąć nas z powrotem do tego marazmu, w którym tkwiłszy przez lat kilkaset, przeznaczając nam rolę „pawia i papugi”. To nie kwestia gustu, to sprawa pewnych interesów; to nie kwestia przypadku, to prawidłowość rozwoju

gospodarczy. A więc to folgowanie chwilowym nastrojom, bez oglądania się na skutki dalsze, nawet tylko nie-ko dalej nosa... Ow sangwinizm, o którym tak ciekawie pisał niefortunny rywal polityczny Wielopolskiego. hr. Zamoyski, który swoją niecierpliwością przekreśla cele, do których dąży... Owe sejmikowe warcholstwo, w którym nie chodziło tyle o to, aby rzecz z korzyścią załatwić, ale wygadać się, wygadać się...

To wszystko chce wykorzystać w rozgrywce. Jaki będzie tego wynik? Myślę o tym bez niepokoju. Przemiany, jakie od ćwierć wieku zaszły w Polsce, czynią posługiwanie się tymi złyimi mocami przeszłości rzeczą bardzo trudną. Zbudowaliśmy nie tylko przemysł siedzący twardo w czołówce światowej. Wytworzyła się w trakcie tego wielkiego dzieła przebudowy społecznej naszego kraju także nowa świadomość narodu polskiego.

PRAWDA, PRAWDA, PRAWDA...

Czy ten pryncypialny optymizm ma uzasadniać beztrochę? Zbyt często stawiamy znak równania między jednym — optymizmem — a drugim — beztrością. Próbowanie dywersji przeszłości, próbom wywołania życia trzeba przeciwstawić rozmaity oręż. W tym arsenale najważniejsza jest broń niezawodna, broń prawdy. Jeśli się nią posługujemy prawidłowo, ćwierćprawda czy oszczerstwo, podniesione nawet do entej potęgi, są bezsilne. Jak to jest napisane na ścianie Domu Metodystów? „Poznaście prawdę, a prawda was wyzwolodzi”. Także od dywersji przeszłości.

Tak rozmyślałem sobie, oglądając spektakl Marii Wiercińskiej. Tragicznie skończyła się historia „nowego życia” Eurydyki i Orfeusza. Ale najbardziej nawet prymitywna obserwacja życia pozwala nam stwierdzić, że nie zawsze idea „życia raz jeszcze” ponosi klęskę. Wokół nas widzimy ludzi, którzy z powodzeniem realizują rozmaite „odnowy”. Czytając historię wiemy także, że wielu narodom powiodło się, nieraz z wielką korzyścią dla całej ludzkości, wysiłek wyrwania się z periferii na główny szlak dziejów.

Powtarzam swoje ulubione powiedzonko: nie wiadomo, czy chce to móc, ale wiadomo, że nie chce, to nie móc. Tak dobitnie, tak przekonująco pokazała Wiercińska i Kowalski aktorzy sztuki, Stankówna i Kowalski, że tamtym się nie powiodło, bo niedostatecznie chcieli. W końcu w dążeniu do wielkich celów człowiek tak naprawdę ma jednego tylko wroga. Jest nim on sam.

JERZY MILEWSKI

Teatr Telewizji: J. Anouilh — „Eurydyka”. Reż. M. Wiercińska. Scenogr. O. Axer; reż. tv: J. Wiśniewska. Obsada: H. Stankówna, W. Kowalski oraz: H. Kosobudzka, E. Berger-Jankowska, A. Dmochowska, J. Walterówna, H. Bąk, E. Fetting, M. Milecki, J. Nasierowski, S. Schmidt, Z. Skowroński, T. Surowa, J. Zydkiwicz.



Scena z dramatu Jean Anouilha „Eurydyka”. Na zdjęciu: Mieczysław Milecki — Ojciec i Władysław Kowalski — Orfeusz

FOT. WOJCIECH FRANKOWSKI